



(Doświadczenia doktorki Thompson nad mężczyznami i kobietami. — Rozmaite cechy obu płci. — Wygrana w sumie 1 miliona i pani Hofer. — Upały. — Do czego służy Wisła?)

Już od dawna toczy się spór o to, czy kobieta pod względem duchowych i fizycznych zalet jest równa mężczyźnie, czy też mu ustępuje. Właściwie powinniśmy pytać o to, czy kobieta jest taka samą jak mężczyzna, czy też odmienną istotą, ale ponieważ na to pytanie istnieje tylko jedna odpowiedź, że kobieta jest odmienną — więc nawet ludzie, mający pretensję do uczoności, koniecznie mówią o fizycznej i myślowej równości lub nierówności kobiet wobec mężczyzn.

W Ameryce północnej znana profesorka psychologii na uniwersytecie w Chicago, doktorka Helena Thompson na tle tem czyni od dłuższego czasu doświadczenia, do których służy jej słuchacz i słuchaczki uniwersytetu. Pani Thompson wybrała do swoich doświadczeń 50 słuchaczy i słuchaczek, osoby normalne, silne i zdrowe. Przedmiotem pierwszych doświadczeń były fizyczne zalety i właściwości płci. I tak słuchacz i słuchaczka na dany znak musieli przy nieruchomych rękach pukać w takt palcami. Otóż przy tej sposobności okazało się, że mężczyźni mają wytrwalsze, a co dziwniejsze, zarazem lżejsze palce. Ale przy następnym zaraz doświadczeniu okazała się rzecz jeszcze dziwniejsza. Oto przy mieszaniu, rozdawaniu i sortowaniu kart wedle barwy, panie okazały wyższość! Nawet ci mężczyźni, którzy często grywali w karty, nie mogli nadążyć swoim koleżankom. Ból głowy sztucznie wywołany, znosili łatwiej mężczyźni, natomiast, trzymając ręce w gorącej wodzie, panie znosiły wyższe temperatury.

Zmysł smaku okazali słuchacze wyżej rozwinięty, niż ich koleżanki, a mianowicie łatwiej rozoznawali smak płynów silnie rozcieńczonych, natomiast zmysł powonienia był delikatniejszy u słuchaczek. Co do wzroku, to mężczyźni lepiej widzieli na znaczne odległości, natomiast panie lepiej rozróżniały odcienie barw.

Przejdźmy do właściwości umysłowych. Cały szereg doświadczeń, przeprowadzonych przez panią Thompson wykazały, że kobiety mają lepszą pamięć niż mężczyźni. A przy doświadczeniach tych chodziło nie tylko o mechaniczną pamięć, o przyswojenie sobie wyrazów bez związku, lecz także o pamięć wyższą na podstawie rozumu i tak zwanego kojarzenia się pojęć. Ten rezultat, jak niektórzy twierdzą, wcale nie jest zadziwiającym. Podobno aktorki o wiele szybciej uczą się swoich ról i dokładniej w pamięci je zachowują, niż aktorzy, co się często już po kilku próbach okazuje. Pani Thompson co do objawów woli, namiętności, rozmaitych porywów ducha i t. p. nie mogła czynić doświadczeń i musiała poprzestać na pytaniach ze swojej strony, a odpowiedziach ze strony słuchaczy i słuchaczek. Jakkolwiek nie wątpimy o prawdziwości ich, mimo to nie przywiązujemy wagi do tego rodzaju „doświadczeń“, pomijamy je. Ale to, co pani Thompson uzyskała drogą rzeczywistych doświadczeń, ma wartość materiału naukowego i zawiera zajmujące wyniki.

Pomówmy o innej kobiecie, którą przypadek uczynił bohaterką chwili. Dnia 31 lipca b. r. odbyło się w Paryżu ciągnięcie loterii, którą na swój dochód urządziło stowarzyszenie dziennikarzy francuskich. Główna wygrana wynosiła milion franków. Ponieważ losy tej loterii rozeszły się po całej Francji, wszędzie więc z niecierpliwością oczekiwano ciągnięcia. Dnia 31 lipca o godzinie 8 wieczorem wiadano, że główna wygrana padła na numer 2174, seryę 77. Nazajutrz pisma paryskie zamieściły telegram, że los ów znajduje się w rękach pani Hofer, dzierżawczyni kantyny w kosciarach 23 pułku dragonów w Sedonie.

Jak przyjęła ta kobieta wspianiały dar natury? Czy śmiała się? Czy płakała? Czy może nawet zemdląca? Takie pytanie zadawano sobie po kawiarniach paryskich, a tymczasem cały rój reporterów ze stolicy pojechał do Sedanu, ażeby rzecz zbadać na miejscu. I okazało się, że pani Hofer nie śmiała się, ani nie płakała, ani wreszcie nie zemdląca, gdy dnia 1 sierpnia b. r. w południe przybył do niej dyrektor sędzińskiej filii banku „Credit Lyonnais“ i w te odezwał się słowa:

— Pani! Dowiedziałem się właśnie, że główna wygrana loterii dziennikarzy padła na los, mający numer 2174, seryę 77, a sprzedany przez naszą filię. Podobno pani posiada ten los, czy tak?

— Tak jest — odparła dzierżawczyni kantyny i wyciągnawszy los z szuflady, pokazała go dyrektorowi.

Winszując pani serdecznie — rzekł dyrektor.

— Nie mogę jeszcze przyjąć powinszowania — zauważyła pani Hofer z uśmiechem. — Mógł w liście wygranych zdarzyć się błąd drukarski.

Dyrektor zabrał dzierżawczynię kantyny do swojego biura i telefonicznie zapytał, czy rzeczywiście wygrana padła na wymieniony los. Odpowiedź i to pomyślną usłyszała z Paryża sama pani Hofer. Nie było wątpliwości — wygrała milion franków.

— Dziękuję teraz za gratulację — rzekła spokojnie do dyrektora i opuściła biuro.

Tymczasem o wygranej dowiedział się już cały Sedan i gdy pani Hofer pokazała się na ulicy, obstąpił ją zwarty tłum gratulantów. Podziękowała im z uśmiechem i poszła dalej, wstępując po drodze do sklepu, w którym kupiła sobie bluzkę za 15 franków. Przy tej sposobności powiedziała właścicielce sklepu o wygranej.

— Ach! pani, czy mogę pani ofiarować lepszą bluzkę? — zapytała zakłopotana właścicielka sklepu.

— Wystarcza dla mnie i taka bluzka — odparła pani Hofer.

Gdy wróciła do swojej kantyny, zastała tam już pana Emilla Berra, reportera paryskiego dziennika „Figaro“. Paryski dziennikarz był zachwycony panią Hofer, przystojną (a jakże!) wdową, która liczy 38 lat życia, a wygląda na 30.

— Co pani teraz pocnie jako milionerka? — zapytał reporter.

— Mam dosyć krewnych, będę im dopomagać. A zresztą dosyć jest na świecie biedaków. Będę o ile możności świadczyć im dobrodziejstwa — odpowiedziała pani Hofer.

— Będą panią nachodzić spekulanci, ażeby wyłudzić pieniądze.

— Na to jestem zbyt rozsądną. Speculanci pójdą z kwitkiem — zauważyła pani Hofer — ale przedewszystkiem załatwić muszę sprawę kantyny; interes jest interesem.

Nagle roześmiała się głośno. Zjawił się jakiś fotograf z przyrządem błyskawicznym i „zrobiwszy zdjęcie“, zniknął szybko.

— To szósty już fotograf — rzekła pani Hofer. Dzięki takiemu głupstwu, jak wygrany los, jestem sławną kobietą.

Pani Hofer użyje z pewnością dobrze swojego majątku. Nie zawrócił jej głowy magiczny milion. I nie myśl czytelniku, że to jest historia kanikularna, coś w rodzaju bajek o wężu morskim, lub olbrzymiej żabie w grocie Twardowskiego. Pani Hofer istnieje rzeczywiście i wygrała rzeczywisty milion. Ogłosił to francuski dziennik urzędowy.

Wspomniałem o kanikule. Rzeczywiście mamy upały, jak powiadają pobożni zresztą Krakowianie szatańskie. Jaką będziemy mieć temperaturę, gdy łaskawi czytelnicy przy czarnej kawie zabawią się będą (tak sobie pochlebiam) moją kroniką, tego oczywiście przepowiedzieć nie mogę, ale to jedno wiem, że pisać te wyrazy, pocę się jak mysz. Nie z powodu pracy, ale poprostu z upału. Dzienniki zapewniają wprawdzie, że większe jeszcze upały panują w niektórych okolicach Europy, zwłaszcza podobno na Gibraltarze i na... Krzemionkach, ale to marna dla mnie pociecha. Nie jestem wyznawcą przysłówia, które powiada, że miło jest mieć towarzysza niedoli. Co mi z tego, że pocą się i sapią moi bliźni? Wszak przez to nie będzie mi wcale chłodniej.

Gdybyśmy przynajmniej mieli porządne łaźienki na Wiśle! Ba — to marzenie nie rychło się spełni, Kraków posiada, jak się zdaje, Wisłę li tylko na to, a żeby rozmaici nastrojowo nastrojeni panowie, a zwłaszcza panie pisali o niej ogromnie nastrojowe powieści. Może także Wisła służyć jako zbiornik dla kanałów, ale żeby na niej urządzić porządne i obszerne łaźienki, to rzecz zanadto prozaiczna. Przemyśl, jak słyshałem posiada wygodne łaźienki na Sanie, ale Przemyśl jest przecież miastem prowincjonalnym, a Kraków stolicą.

k. e.



BAJKA.

Napisał Maksym Gorki.

Miałem przyjaciela.

„Zgaś, Panie, duszę jego!“ Bo i pocóż płonąć ma ta dusza ognista tam u kręgów podbiegunowych, gdzie obecnie przebywać musi?

„Zgaś, Panie, duszę jego!“ Bo światłość jej nie rozjaśni mroku północnego, ani też od ognia jej nie stopnieją śniegi pustynne i nie rozprószą się dymy tęsknoty i samotności.

Miałem przyjaciela. Młody był jeszcze w chwili, gdy przyszła nań zaguba. Miał właśnie przyjechać do mnie w odwiedzin, ale że był to jeden z tych, którzy tylko prostymi drogami jeździć umieją, zjechał więc prostą drogą tam, gdzie obecnie przebywa i skąd już nigdy nie wróci.

Przyjaciel mój miał matkę, sześćdziesięcioletnią staruszkę, która jedną nogą już stała w grobie.

Jednego dnia otrzymałem wiadomość o tem, co się z nim stało, i list od matki jego, donoszący mi, że syn jej jedzie do mnie w gościnę. Polecała mej opiece ciało i duszę jego; zapytywała, czy już przybył, jak się czuje, czy dobrze nam ze sobą.

Gdy przeczytałem list, stanęła mi przed oczyma staruszka owa, wątła, słaba. Widziałem jej łagodną, przyciągającą żrenicę, w których malowała się niezmierna miłość dla syna. Przypomniałem sobie, że myśl o nim i troska o jego szczęście stanowiła całą treść tego biednego gasnącego już życia.

I donieść jej prawdę?

...Bywa prawda, która jest człowiekowi potrzebna. Ta, co z duszy jego brud wszelki wyziera i płomieniem wstydu wypala z niej pospolitost i płaskość. Tej prawdzie wołam: Bądź pozdrowiona!

Ale bywa prawda druga, ta, która kamieniem ciężkim na głowę spada i łamie i zabija w nas chęć i możność życia. Ta — niechaj zginie!

Jeśli ja tej matce doniosę, że syn jej już na zawsze dla niej stracony, to w najlepszym razie zabije ją odrazu? Ale, jeżeli nie umrze? Jeżeli nie upadnie pod brzemieniem straszliwej wieści, a tylko umrze w niej to, co stanowi istotę i treść życia, a ból jadowity i tęsknota nieuleczalna zatrują jej ostatnie dni życia?...

Przecież ona przez dwadzieścia ośm lat kosztowała mnóstwa ofiar i trudów niezmiernych chroniła syna od wszelkiego zła. A dziś, przed samą śmiercią, ma być pozbawiona tej radosnej i dumnej pewności, że syn jej, w pełni sił i rozwoju, nie potrzebuje już niczyjej opieki i walczyć może sam i zwyciężać.

I jej, która święcie wierzy w jego tryumf, jak rzucić słowa: „Syn twój zwyciężony!“

O nie! Raczej — kłamać!

Więc, naśladując pismo przyjaciela, pisałem do staruszki listy, rozpoczynające się od słów: „Droga, kochana moja Mamo!“ Ona odpowiadała mi tkliwie, serdecznie, prosząc, abym się od różnych rzeczy wystrzegając; dowodziła, że powinienem ubierać się ciepło, wymownie, aniżeli Luter bronił swych tez.

Ja znów, przemawiając do niej ustami jej syna, donosiłem, jak jestem zdrow i szczęśliwy, jak mi dobrze na świecie; opisywałem powodzenie swe w życiu i towarzysztwie, poddawałem się za niego jej napomnieniom i radom, a ona, zashwycona, pisała znów do mnie:

„Drogi mój, jedyny chłopcze! Nigdy jeszcze nie byłeś ze mną tak otwarty, szczerzy i tkliwy, jak teraz w listach... Niech ci Bóg zapłaci za czystość serca twego, które opromienia mi ostatki życia.“

Więc ja, wyrażając całe bogactwo wyobraźni, dobieierałem wyrazów najtkliwszych, barw najpiękniejszych do odmalowania obrazów mego szczęścia. Pisałem do niej, jak miło żyć, mając tak dobrą, świętą, kochaną matkę. Ona odpowiadała, że błogo jest umierać, będąc matką tak dobrego, pięknego, szczęśliwego syna.

I umarła, wierząc w szczęście syna, w chwili, gdy on odpoczywał na etapie, w drodze na północ daleką...

Prawda, że ładna bajka? Szkoda tylko, że — zmyślona.

